

1548.497

dec 1937

Świątek Zawodowy
Pracown. Kolejowych
R. P. Kol. Ostrow-Vilka
Siemnowicza

1397

102

F. ANTONI OSSENDOWSKI

PRZYGODY JURKA W AFRYCE

B.P. K. M



KSIĄŻKI RÓŻOWE
I BŁĘKITNE

31

BIBLIOTEKA KSIĄŻEK BŁĘKITNYCH Nr. 141.

ZAKŁADY GRAFICZNE
„POLSKA ZJEDNOCZONA”
WARSZAWA
NOWOLIPIE 2, TEL 11-02-96.

1548.497

ROZDZIAŁ I.

NA OCEANIE.

Jurek nie posiadał się z radości.

Pozostał zaledwie jeden dzień podróży morskiej do portu Grand-Bassam.

Całe trzynaście dni płynął statek po wzburzonym Atlantyku, i chłopak chwilami czuł mdłości i zawrót głowy. O jedzeniu nie mógł nawet myśleć i tylko pił dużo.

Ogromnie lubił smaczny napój, przyrządzony przez *stewarda* *) okrętowego z soku pomarańczowego z dodatkiem cukru i plasterka cytryny.

Dziś w południe kapitan, obchodząc pokł^ę i witając pasażerów, wołał głośno:

— Jutro o świcie przybędziemy do Bassam!

Jurek ogromnie się ucieszył z tej nowiny.

*) Czytaj stiuard.

Podróż morzem byłaby niezmiernie
gdyby nie te obrzydliwe fale, co po
statkiem, pochylały go z burty na burtę
szwały zanurzać się dziobem do wody,
chwili wspinać się na pienne grzbiety ba
nów.

Jurek płynął po raz pierwszy.

Za postępy w szkole tatuś zabrał go ze sobą
do Afryki na całe wakacje. Ojciec chłopaka,
inżynier Bolesław Waniewski, oddawna już
pracował na francuskiej kolonji Wybrzeża Ko
ści Słoniowej.

Jako kierownik pewnego amerykańskiego
przedsiębiorstwa wybudował tam duży tartak,
gdzie obrabiano dostarczane z dżungli kłoc
mahoniowe.

Na tartaku zamieniano je w deski i forniry,
które wywożono do Ameryki.

Pan Waniewski już szósty rok pracował w
Afryce, odwiedzając rodzinę raz na trzy lata
i spędzając w domu pół roku.

Tym razem inżynier zabrał ze sobą dwuna
stoletniego synka, chcąc, aby chłopak zobaczył
kawał świata, a szczególnie tak interesujący
i niezwykły, jakim jest Afryka, — *czarny ląd*,
o którym marzą żądni wiedzy i wrażeń chłopa
cy.

Nasi podróżnicy wsiedli na statek we fran
cuskim porcie Bordeaux (Bordo) i byli wkrótce
na otwartem morzu.

kilku dniach mijali wyspę Maderę i brze-
ancuskie posiadłości w Maroku.

Łoddali widzieli żółto-różowy łąd afrykań-
ki, gdzie wznosił się i znikał w głębi kraju
ciemno-szafirowy łańcuch gór Atlasu.

Statek zawinął do portu Cazablanka i stał na
redzie kilka godzin.

Pan Waniewski wraz z Jurkiem i grupą pa-
sażerów wsiedli do łodzi i odpłynęli do miasta.

Tatuś opowiedział chłopakowi, że Maroko
jest krajem muzułmańskim, to znaczy, wyzna-
jącym Islam — wiarę w jedyne Boga, usta-
loną przez proroka Mahometa, który urodził
się w Arabji i spisał wszystko, czego nauczał,
w księdze, „Koranem“ zwaną.

W tym rozległym kraju panuje sułtan, rzą-
dzący narodem, złożonym z Arabów, niegdyś
tu przybyłych z Azji, i dawnych mieszkań-
ców — Berberów.

W wiekach średnich było to państwo nie-
zmiernie potężne, które zagrażało Europie,
szczególnie Hiszpanji, gdzie też kalifowie ma-
rokańscy przez długi czas panowali, zdobyw-
szy południowe miasta: Kordobę, Sewillę i Gra-
nadę.

Po okresie świetności w Maroku wynikły
wojny domowe aż wkońcu państwo rozpadło
się na mniejsze i słabsze państewka. Część ich
przeszła w ręce Italji i Francji, pozostało tylko

niezależne Maroko, lecz i tam sułtanowi w rzadzeniu pomagają Francuzi; bez rady i zezwolenia ich władca nie może uczynić żadnego poważnego kroku.

Jurek, wyszedłszy z łodzi i idąc z ojcem przez miasto, z ciekawością się rozglądał na wszystkie strony.

W mieście, rozbudowanem w ostatnich latach przez francuskie władze, bardzo mało pozostało z dawnej arabskiej siedziby. Przeważnie wielopiętrowe, nowoczesne domy, zajęte przez europejskie biura handlowe i okrętowe lub wspaniałe sklepy i urzędy, były piękne, lecz dla Jurka, który znał dobrze Francję, — nieciekawe.

Zato oczy mu się paliły do tłumu.

Co chwila spotykał poważnych, zamyślonych Arabów w białych, granatowych lub brunatnych, rozwiewnych burnusach, w białych zawojach na głowach.

Pan Waniewski rozpoznawał wśród nich mieszkańców różnych dzielnic Maroka.

— Patrz, Jureczku! — mówił do synka. — Ten wysoki, wiotki, prawie czarny Arab w brunatnym burnusie i z twarzą, osłoniętą białą płachtą, zdaleka musiał tu zapewne przybyć. Jest to mieszkaniec północnych oaz pustyni Sahary. Niezawodnie przyjechał tu na czele karawany wielbłądów, dostarczając kup-

com francuskim worków i skrzyń, napęlnionych daktylami i figami. Ten znów w granatowym burnusie i śnieżno-białym turbanie — to góral z Atlasu, zapewne właściciel dużego stad baranów i jednocześnie dostawca wełny. Teraz zaś spójrz na tego grubego Araba w białym burnusie i w zawoju, owiniętym czerwonymi sznurami...

— Ten, którego inni całują po rękach? — spytał Jurek.

— Właśnie! — kiwnął głową inżynier. — Człowiek ten odbył pielgrzymkę do Mekki, świętego miasta muzułmanów...

— Takiego, jak dla nas Jerozolima?

— Tak! — odpowiedział ojciec. — Wszyscy poznają tego bogobojnego i pobożnego człowieka, a o jego pobożności świadczą te czerwone sznury na turbanie.

Jurek z zachwytem patrzył na przejeżdżających przez plac jeźdźców na gorących, pięknych rumakach, na leżące przed składami towarów ciągle żujące wielbłądy.

Tam i sam przemykały się czarno ubrane kobiety o twarzach, okrytych białymi lub czarnymi zasłonami.

Spostrzegłszy zdumienie na twarzy synka, inżynier rzekł:

— Obyczaj i religja zabraniają kobiecie muzułmańskiej pokazywać twarz obcym,

a więc zmuszone są zasłaniać ją „czarczafem“...

Doszli wreszcie do arabskiej dzielnicy i zagłębili się w labiryncie wąskich, pod ostrym kątem załamujących się uliczek, zatłoczonych, dusznych i zgiełkliwych.

Panował tu półmrok.

Nad uliczkami mieszkańcy urządzili namiot z dziurawych mat i kawałków tkanin o przeróżnych barwach.

Po bokach uliczek, pozbawionych chodników, lepiły się jeden przy drugim sklepiki arabskie, żydowskie, hinduskie i syryjskie.

Handlarze, wrzeszcząc z całej siły, zachwalali swoje towary: jedwabie, dywany, obuwie, wyroby safjanowe, starą broń, siodła, perfumy, daktyle i inne owoce.

Poważny Hindus o twarzy brązowej i oczach niezwykle przenikliwych dzwonił w mały gong i pokazywał rozłożone na ladzie i w szafkach srebrne bransoletki i kolje arabskie, ciężkie kolczyki, przywiezione z głębi Sahary, i klejnoty, pochodzące z Indji.

Tuż obok rzeźnik potrząsał nad głowami przechodniów kawałami tłustego mięsa przed chwilą dopiero zarżniętego barana i przysięgał, że było to najbardziej utuczone zwierzę, widziane kiedykolwiek w Maroku.

Ogłuszeni straszliwym wrzaskiem uliczek arabskich, Jurek z ojcem powrócili do miasta i wstąpili do cukierni na kawę.

Naprzeciwko stała świątynia muzułmańska, tak zwany *meczet*.

Gdy Jurek wyjrzał przez okno, spostrzegł Araba w białym burnusie, stojącego na szczycie *minaretu* — wieży, wznoszącej się obok świątyni.

Po chwili rozległ się jego śpiew-tenorowy, drgający.

Włóczący się po placu i siedzący w cieniu murów Arabowie wnet poklękali i, chyląc się kornie, dotykali głowami ziemi, lub, zwracając twarz ku wschodowi, wznosili ręce ku niebu.

— Jest to modlitwa południowa — objaśnił pan Waniewski, — *muezzin*, który jest pomocnikiem kapłana - mułły, śpiewa modlitwę, wysławiającą *Allaha*, jedynego Boga i Stwórcę.

Stojący na minarecie człowiek wysokim, donośnym tenorem wykrzykiwał po arabsku:

— *La Illa Illah Allah u Mahomed Rassul Allah — Allah Akbar!*

— Co to znaczy? — spytał Jurek.

— Niema Boga ponad Boga Allaha, jak uczy Mahomet — prorok Allaha-Allaha przed-

wiecznego! — przetłumaczył inżynier słowa modlitwy arabskiej, którą powtarzał modlący się tłum.

Zwiedziwszy malowniczo położony bulwar, ciągnący się wzdłuż wybrzeża, wsiedli do łodzi i powrócili na statek.

Wkrótce parowiec, ryknąwszy przeraźliwie, podniósł kotwicę i ruszył w dalszą drogę.

Podróżnicy widzieli na horyzoncie, rzucającą w nocy jasny snop promieni potężną latarnię morską, stojącą na północnym przylądku wysp Kanaryjskich, a od wschodu inne — słabsze, świecące z brzegu afrykańskiego.

Chłopak przyglądał się falom, połyskującym w mroku srebrnymi i zielonymi ognikami. Kapitan opowiedział mu, że te iskierki w wodzie to są drobne istotki, świecące w ciemności. Jedne z nich oświeślały sobie tym sposobem drogę, inne — wabiły do siebie jeszcze bardziej drobne żyjątka, na które нападаły i pożerały.

W dzień Jurek, rozparty na leżaku, obserwował coraz to nowe zjawiska.

Pewnego razu spostrzegł, że powierzchnia morza pokryła się niby łuską drobnymi falami. Ocean zdawał się kipieć.

Chłopak podszedł do stojącego przy burcie marynarza i spytał go, co się to dzieje na morzu.

— Płynie tam ławica ryb, nie wiem jakich, być może sardynek, makreli lub tuńców — odpowiedział majtek. — Gdy zaczniemy rybom przecinać drogę, zobaczysz rzeczy niezmiernie ciekawe! Będzie nielada zabawa!

Marynarz, widać, dobrze znał morze.

Istotnie Jurek ujrzał wkrótce płynące dookoła statku ryby.

Były to zielono-lazurowe o czerwonych centkach makrele. Płynęły zwartą gromadą, bok przy boku. Płynące głębiej, wypychały te, które znajdowały się wyżej. Wszędzie widniały co chwila wynurzające się grzbiety i koralowe płetwy ryb.

Duże, szare mewy z drapieżnymi krzykami rzucały się na nie, porywały i odlatywały, ścigane przez chciwe towarzyszki.

Z wody, w znacznym od okrętu oddaleniu, wyskakiwały inne ryby — duże, wrzecionowate, o ciemnych grzbietach i białych brzuchach. Gonily płynące stada makreli i napały na nie z wściekłością drapieżników.

Biedne, bezbronne ryby, miały się, wyskakiwały wysoko ponad wodę i z pluskiem wpadały zpowrotem, lecz nie mogły się ukryć w głębinie oceanu, bo trafiały na zbite, ogromne, stłoczone stado, z miljonów ryb złożone.

Inni wrogowie dołączyli się wkrótce.

Stało się to wtedy, gdy ławica zbliżyła się do Zielonego przylądka.

Duże stado delfinów runęło na płynące ryby.

Ostremi pyskami roztrącały stado, chwytając i pożerając makrele, które nie domyślały się uciec na wielką głębię, gdzie potrzebujące powietrza zwierzęta nie mogły już je ścigać.

Delfiny wyrzucały się z wody i zabawnie nurkowały, wyprzedzając szybko sunący okręt lub przepływając pod jego dnem.

Gdy statek zbliżał się do wysp Zielonego przylądka, Jurek spostrzegł wystającą z wody trójkątną pletwę jakiejś, zapewne dużej ryby.

Przeglądał się jej uważnie, pragnąc dojrzeć samą rybę, lecz ta nie zbliżała się do burty parowca.

— Czy wiesz, jaka to tam płynie ryba? — spytał go ojciec, podchodząc do chłopca. — Jest to rekin. Zobaczysz go, gdy kucharz wyrzuci coś za burtę.

Jurek niedługo czekał, bo z kuchni okrętowej niebawem wylano do morza kubel z pomijami, kawałkami chleba i kartoflami.

Przechyliwszy się przez ogrodzenie burty, chłopak ujrzał długiego na dwa metry rekina. Z pod wody wydawał się biały, lecz na jego

ciele widniały czarne plamy i pręgi. Zdawało się, że bardzo leniwie porusza pletwami i ogonem, tymczasem płynął on równolegle z okrętem, który aż wzdrygał się cały od silnych i szybkich obrotów śruby.

— Jest to rekin - tygrys, zuchwały drapieżnik! — zawołał pan Waniewski. — Spójrz na tę okrągłą, tępą paszczę z kilkoma rzędami zakrzywionych zębów, na te małe, złe i badawcze oczy, a zrozumiesz, jak niebezpiecznym jest dla pływaka spotkanie z tym potworem morskim i bandytą!

Do rozmawiających pasażerów podszedł jeden z oficerów okrętu.

Wskazując na wystające koło brzegu ciemno-czerwone skały, rzekł:

— Jest to przyłodek Meduzy... Nazwano go tak ku pamięci statku „Meduza“, który się w tem miejscu rozbił i zatonął. Rekiny pożarły wszystkich pasażerów i załogę. Smutne wspomnienia — nieprawdaż?

Prawdopodobnie Jurek jeszcze wiele innych ciekawych rzeczy mógłby zobaczyć i nasłuchać się o nich, gdyby nie zerwał się silny wiatr, który wzburzył ocean.

Chłopak nie mógł już wychodzić na bujający pokład, przez który co chwila przewalały się ciężkie, słone fale. Spędzał więc całe

dnie w salonie, gdzie grał z ojcem w szachy lub czytał, popijając smaczny sok pomarańczowy.

Cieszył się teraz zatem, że już jutro wyładują w Grand-Bassamie.

ROZDZIAŁ II.

PIERWSZY DZIEŃ W AFRYCE.

Grand-Bassam jest portem francuskiej kolonji na Wybrzeżu Kości Słoniowej, która się znajduje nad brzegami Zatoki Gwinejskiej pomiędzy należącym do Anglii Złotem Wybrzeżem od wschodu, a niezależną rzeczpospolita murzyńską — Liberją — od zachodu.

Wybrzeże Kości Słoniowej należy do najbogatszych posiadłości Francji. Lasy mahoniowe i innych gatunków drogich drzew, plantacje kawy, kakao, ananasów, bananów, orzechów ziemnych i drzew „karite“, których owoce dostarczają poszukiwanego w Europie i Ameryce tłuszczu, używanego dla fabrykacji mydła i roślinnego „masła“, gaje kokosowe i obfitość zwierzyny stanowią bogactwo kolonji.

Liczne domy handlowe skupują tu towary i wywożą do Francji lub Ameryki. Ludność

murzyńska, należąca do różnych szczepów, noszących nazwy Aszanti, Banga, Bodo i Guru, słynie ze swej zamożności, gdyż biali ludzie chętnie kupują naturalne bogactwa ich kraju.

Grand-Bassam — to niewielkie, liczące około dziesięciu tysięcy mieszkańców miasteczko nadmorskie. Szerokie ulice, obsadzone eukaliptusowemi i mangowemi drzewami, zbiegają ku morzu.

Małe, tonące w ogrodach, zacienione wille mają przytulny i malowniczy wygląd.

W środku miasta zbudowano jednopiętrowy, lekki gmach dworca, skąd biegnie droga żelazna do Bingerville, gdzie mieszka w swym pałacu gubernator i gdzie się mieszczą wszystkie urzędy, a stąd — do Buake, do granicy południowego Sudanu.

Na placu i na ulicach panuje tu ciągłe ożywienie.

Barwny tłum tuziemców — w białych „bubu” — długich, lekkich szlafrokach, kobiet w jaskrawych sukniach i fantazyjnie owiniętych dokoła głowy wzorzystych chustach, tam i sam zupełnie niemal nadzy murzyni, przybywający z dżungli, Europejczycy i Amerykanie w białych strojach i korkowych hełmach — wypełniał chodniki, kawiarnie i duży plac, gdzie codziennie odbywał się jarmark.

Ulicami mknęły samochody lub sunęły wozy, ciągnięte przez małe, senne woły.

Od portu dobiegały basowe lub jęклиwe poryki syren okrętowych, brzęk i łoskot parowych kranów, gwar tłumu tragarzy i turkot wózków, toczących się po długim molo, przy którym stały parowce, przypływające z Europy lub odpływające do Ameryki.

Pożegnawszy oficerów statku, pan Waniewski z synkiem pojechali do willi, gdzie mieściło się biuro inżyniera.

— Musimy dziś dobrze wypocząć, bo jutro pojedziemy razem do tartaku — mówił pan Bolesław. — Mamy przed sobą około dwustu kilometrów w stronę granicy liberyjskiej. Marna to, męcząca droga!

W willi, gdzie mieszkał inżynier, wszystko zajmowało i zaciekawiało Jurka. Kucharz - murzyn Dodo, taki również czarny lokaj — Herkules, stale roześmiana praczka Ini i chłopak-ogrodnik Bas — ucieszyli się z przyjazdu swego „mussu“, jak nazywali pana Waniewskiego.

Herkules, olbrzymi, barczysty murzyn Guru, oprowadzał Jurka po całym domu i ogrodzie, bez przerwy opowiadając i co chwila wybuchając wesołym, beztroskim śmiechem.

Lokaj pokazał chłopakowi skóry zabitych lwów, lampartów, hijen i antylop, czaszki sło-

ni i hipopotamów, pióra barwnych ptaków, szafkę z bronią ojca, jego zbiory dywaników, tkanin, masek, łuków i strzał murzyńskich, biurko mahoniowe, oparte na czterech prawdziwych nogach słoniowych, świeczniki z kłów hipopotamów i wiele innych, niezwykłych i ciekawych przedmiotów.

Zdziwił się Jurek, zobaczywszy łóżko, stojące pod namiotem z cienkiej siatki.

— O! — zawołał Herkules, spostrzegłszy zdumienie chłopaka. — Gdyby nie być siatka, mały „mussu“ nie być spać...

— Dlaczego? — spytał Jurek, patrząc na pocziwą, figlarną twarz olbrzyma.

— O - ! — powtórzył murzyn. — Mały „mussu“ jeszcze nie wiedzieć, że w Grand-Bassam i w dżungli... bzz.... bzz... bzz wiele, wiele!...

— Komarów? — domyślił się Jurek.

— Tak! Moskity!... — przytaknął Herkules. — Chmara moskitów...

Kucharz Dodo poczęstował naszych podróżników doskonałym obiadem, podczas którego pan Waniewski i Jurek przełknęli po pastylce chiny, aby nie zapaść na malarję — straszną chorobę, trapiącą ludność podzwrotnikowych krajów.

Wybrzeże Kości Słoniowej leży blisko od równika, i malarja jest tu bardzo rozpow-

szechnioną chorobą. Wielu już Europejczyków przypłaciło śmiercią swój pobyt w dżungli afrykańskiej, zapadłszy na malarję.

Napiwszy się kawy, Jurek w towarzystwie miłego Herkulesa poszedł na miasto. Wszystko mu się tu podobało, a szczególnie murzyni. Uśmiechali się do niego i mówili coś łagodnym, nieco zachrypłym głosem. Czarne, błyszczące ich twarze i wesołe oczy miały dziecinny wyraz. Chłopak nie spotkał ani jednego smutnego lub rozgniewanego murzyna. Śmiali się, śpiewali, tańczyli i żartowali. Tłumy małych golasków, z przepaskami na biodrach, bawiły się i figlowały na bulwarach i w parku nad brzegiem laguny.

Wszystko — domy, drzewa, morze i ludzie pławili się w złotem, skwarnem słońcu.

Świergotały i goniły się ze szczebiotem drobne, różnokolorowe kolibry afrykańskie, skrzeczały granatowe, połyskujące niby metal drozdy, fruwały barwne motyle i śmigwały zielone i koralowe jaszczurki, polując na muchy i żuki.

Jurek czuł wielką radość. Był wdzięczny tatusiowi, że wziął go ze sobą do Afryki, gdzie było tyle słońca i ciekawych, nigdy niewidzianych rzeczy!

Tu wszystko działo się inaczej, niż w Europie.

Ledwie słońce zaszło, zapadła noc.

Na czarnem niebie paliły się ogromne, jasne gwiazdy.

Pan Waniewski wskazał chłopakowi pewną konstelację i rzekł:

— Tego gwiazdozbioru w Europie nie ujrzysz, mój synku! Jest to „Krzyż Południowy“, którym się kierowali niegdyś wielcy, odważni żeglarze, odkrywający Amerykę... Zapamiętaj go sobie dobrze!

Po lekkim posiłku udali się obaj na spoczynek.

Herkules zgasił lampę w pokoju i, otworzywszy okno, zapalił szyszkę eukaliptusową. Tliła się, wydzielając obfity, wonny dym.

— Moskity, duże pająki, jaszczurki nie lubić eukaliptus, uciekać czempredziej... Herkules zamykać okno ramą siatkową... mówić „dobranoc“, a mały „mussu“ spać — chrr... chrr!...

Murzyn wybuchnął głośnym śmiechem i jał przyrządzać posłanie dla Jurka, bez przerwy opowiadając o dużych nietoperzach, latających na dworze, o gryzących pająkach i jaszczurkach, które wypuszczają ostry płyn, parzący skórę.

Gadalby tak przez całą noc, lecz pan Boleśław krzyknął z sąsiedniego pokoju:

— Hej, Herkules! Zagadasz mi syna na śmierć, a przecież chłopak powinien się wyśpać!

Murzyn zatkał sobie usta dłonią i, śmiejąc się oczyma, wyszedł, szepnąwszy:

— Dobranoc! Mały mussu... chrr... chrr... chrr...

Wesoły, dobroduszny Herkules zgadł.

Jurek ledwie głową dotknął poduszki, zachrapał.

Znużyła go trwająca dwa tygodnie podróż morską.



ROZDZIAŁ III.

PRZEZ DŻUNGLE.

Rano przed willą stanął samochód Renaud, kierowany przez Herkulesa. Z tyłu na siatce i na stopniach wozu umieszczono bagaże Waniewskich, — a murzyn raz jeszcze starannie obejrzał motor i wstawił do auta blaszanki z benzyną.

— Gotowe! Mussu chceć jechać! — oznajmił, wchodząc na werandę, gdzie kończono właśnie śniadanie.

Inżynier kazał murzynowi wsiąść do wozu, sam zaś zajął miejsce przy kierownicy, posadziwszy przy sobie synka.

— Z Bogiem! — rzekł pan Waniewski.

Auto ruszyło wzdłuż brzegu morskiego, wybiegło na szeroką drogę i wkrótce sunęło pomiędzy dwiema ścianami wysokich drzew o gęstym podszyciu z krzaków i pnących się roślin.

Jurek co chwila podsłakiwał na siedzeniu i wydawał okrzyki zdumienia i zachwytu.

Rozglądając się na wszystkie strony, zasy-
pywał ojca pytaniami.

Okolica, knieja, owady i ptaki, zda się nie-
bo nawet, jakgdyby przetkane złotem, były
nowe, cudowne, nigdy nie widziane!

Chłopak czuł się doskonale.

Wypoczął i wyspał się znakomicie, a skwar
wcale mu nie dokuczał.

Silny prąd powietrza, prutego przez pędzącą
maszynę, przenikał przez lekkie, białe ubran-
ko, a wygodny hełm z wentylatorami osłaniał
głowę od szkodliwego działania podrówniko-
wego słońca.

Jurek w każdej chwili spostrzegał ciekawe
rzeczy, o których nie miał najmniejszego po-
jęcia.

Chociażby sama dżungla!

W podręczniku geografji wyczytał, że jest
to gęsty, nieraz dziewiczy, nieprzebrnięty las
podzwrotnikowy.

To określenie nic nie mówiło!

Teraz dopiero widział dżunglę afrykańską,
rozpościerającą się na obie strony od równika.

Jurek nie mógł sobie wyobrazić, żeby mo-
żna było przedrzeć się przez tak straszliwe
haszcze, oplecione lianami i okryte, niby pła-

szczem, pnąciami roślinami, zdobnemi w barwne, wonne kwiaty.

Olbrzymie, nieraz wysokie na sześćdziesiąt metrów mahonie, baobaby, palmy i inne nieznanne drzewa, o grzebieniastych pniach i pokracznych konarach, swemi koronami tworzyły namiot nieprzenikniony nawet dla gorących promieni słońca. Na dole wśród gmatwaniny młodszych drzew, krzaków i zarośli wysokich trzcin panował mrok, pełen tajemnic i czającego się w nim niebezpieczeństwa.

— Boże! Jakież to straszny gąszcz! — wołał Jurek. — Ileż to dzikich zwierząt, węży i ptaków może się tam ukrywać?!

Pan Waniewski potrząsnął głową i odpowiedział:

— Ta dżungla przed dwoma laty została już znacznie przetrzebiona. Wydarzyło się tu też parę pożarów leśnych. Właśnie, im to zawdzięczając, tak szybko wybujała młoda roślinność.

— Pożary temu dopomogły? — spytał zdziwiony Jurek. — Ogień?!

Ojciec, wstrzymując nieco bieg auta, wskazał ręką na leżące wśród zarośli pnie obalonych drzew i rzekł:

— Ogień zrzucił te drzewa. Leżąc na wilgotnej, nieraz bagnistej glebie, szybko gniją i użyźniają ziemię. Nasiona i boczne pędy,

wyrastające ze starych korzeni, mają dobre warunki do pomyślnego wzrostu. W ten sposób natura zabiłżnia zadane jej przez człowieka rany...

— Rozumiem teraz... — szepnął chłopak. — A przecież ogień nie strawił wszystkich drzew!

— Najsilniejsze przetrzymały pożar i zagoiły swoje rany — powiedział inżynier, przesuwając regulator na drugą szybkość.

Jechali bez wypadków, chwilami doprowadzając pęd do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Droga, ubita z gliny, zmieszanej z twardą, jak cement, ziemią z kopców termitów prosta była i gładka.

— Świetna szosa! — zachwycił się mały podróżnik.

— Narazie, tak! — potwierdził pan Bolesław. — Mamy tej drogi około osiem — dziesięciu kilometrów, a później skrócimy na boczną, leśną drogę — tam będzie gorzej!

Umilkli, a chłopak jeszcze z większą ciekawością rozglądał się dokoła. Oczy mu pały; z trudem wstrzymywał się od okrzyków, bojąc się przeszkadzać ojcu w prowadzeniu maszyny, gdyż właśnie droga zaczęła robić nagle skrety, a na spotykanych coraz częściej wązkich mostkach należało być ostrożnym.

Wiadok Zawodowy

Pracown. Kolejowych

R. P. Koło Ostrów-Wlkp.

Ślenkiewicza 1 a

Nad autem, co chwila przelatywały duże, barwne motyle. Podobne były raczej do ptaków lub do ciemno-szafirowych nakrapianych białemi centkami nietoperzy.

Na drodze nie spotykali ani ludzi, ani też wozów.

Tylko z chatek, ukrytych w dżungli, wychodzili i spoglądali na samochód czarni dróżnicy, naprawiający szosę.

Zato coraz częściej spotykali stadka ptactwa.

Rdzawe kuropatwy grzebały w kurzu i leniwie zbiegały do rowu, ujrzawszy nadjeżdżające auto; centkowane, szare perliczki uciekały tuż przed kołami wozu i ciężko podnosiły się na krótkich skrzydłach, przeraźliwie krzyząc.

Jakieś drobne, czupurne kurki tkwiły na stosach kamieni, złożonych na zboczu drogi i zuchwale przyglądały się ludziom.

Jeszcze inne ptaki — jasne z brązowymi skrzydłami, o długich, czerwonych nogach i żółtych dziobach, całemi gromadami siedziały na drodze, rozpraszając się na wszystkie strony tuż-tuż przed kołami.

— Te ptaki podobne są do naszych dużych kulików — zauważył Jurek, podnosząc na ojca pytający wzrok.

— Masz słuszość, synku — odpowiedział pan Waniewski. — Są to kuliki, żyjące zresztą w suchych miejscowościach. Francuzi nazywają je „*vanneaux*“ *) i nie lubią tych ptaków, ponieważ są one nieprzejednanymi wrogami myśliwych.

— Spodziewam się! — ze śmiechem zawołał chłopak. — Żadna zwierzyna nie lubi myśliwych — to zrozumiałe!

Pan Waniewski, zatrzymując maszynę, odparł:

— Tutejsi myśliwi nigdy nie polują na te kuliki, gdyż mięso ich nie jest dobre. „*Vanneaux*“ zato polują na myśliwego, i biada temu, kogo zoczą. Lecą za nim całą gromadą i drą się, jak oszalałe, płosząc wszystką zwierzynę.

— A to dopiero heca! — zaśmiewał się Jurerek.

Wyszedszy z wozu i kazawszy Herkulesowi zajrzeć do motoru, inżynier mówił dalej do chłopaka:

— Nie lubią ich też szoferzy! Przekonasz się wkrótce, że ptaki te są wprost niebezpieczne w nocy. Lecą one na światło latarni, tłuką nieraz szyby u auta, a rozpryskującemi się odłamkami szkła kaleczą kierowców.

*) Czytaj: wanno.

— Takie głupie są te ptaki?! — zdziwił się chłopczyk.

— Coprawda, to wszystkiemu winne jest światło, które oszalała i oślepiła nie tylko ptaki lecz i zwierzęta — objaśnił ojciec.

Herkules, zamknąwszy maskę motoru, rzekł:

— Mussu jechać, motor kręcić... dobrze kręcić!

Już wsiadali do auta, gdy w tej samej chwili rozległo się złośliwe rechotanie, przechodzące w głucho warczenie.

— Małpy! Małpy! — krzyknął Jurek, palcem, wskazując na wysokie, rozłożyste drzewo.

Kilkanaście czarnych, kosmatych małp o białym zaroście dookoła pyszczków i długim srebrzystym ogonie, biegło po gałęziach i potrząsało niemi gniewnie, zgrzytając zębami i rechocąc.

Zapewne groźną postawą swoją zamierzały odpędzić ludzi, którzy w czymś musieli im zawadzać.

— Są to „czarne małpy“, nazywane przez murzynów Aszanti „leśnymi ludźmi“. Są one zwiastunami świtu, gdyż pierwsze witają słońce basowemi nutami i budzą dżunglę z jej mieszkańcami.

Tymczasem mały spuściły się na niższe gałęzie, czekając i jazgocząc z coraz większą wściekłością.

— Coby to mogło być? — dziwił się pan Waniewski, oglądając się na wszystkie strony.

Przyglądający się małpom Herkules nagle uderzył się w czoło i zawołał:

— „Mussu“ wielki i mały „mussu“ patrzeć... tam! tam!

Jurek spojrzał w kierunku ręki murzyna i zobaczył dużego sępa o gołej szyi i ogromnych, czarnych skrzydłach.

Widocznie zerwał się z wysokiego drzewa, bo leciał ukośnie, kierując się ku ziemi.

O jakie sto kroków od auta zatrzepotał potężnymi skrzydłami i wyciągnął długie nogi o zakrzywionych szponach.

Mały szalały coraz bardziej, miotając się wśród gałęzi i robiąc straszliwy rwetes.

— Mały „uruhu“ padać drzewo... Sęp widzieć, lecieć i schwytać... — wołał murzyn, przedzierając się już przez zarośla.

— Herkules myśli, że jakieś małpiątko stoczyło się z gałęzi, a drapieżny ptak zamierza porwać zdobycz... Widzisz, już zwija pióra! Za chwilę runie na ziemię!

Ledwie przebrzmiały te słowa pana Waniewskiego, gdy z krzaków wyskoczyła drob-

na małpka i, ujrzawszy murzyna, w jednej chwili wdrapała mu się na grzbiet i, drżąc cała, przytuliła się do niego.

Herkules, śmiejąc się głośno, wziął na ręce maleństwo, błagające go o obronę i szedł ku samochodowi.

Sęp, wydawszy ostry, jękliwy skwir, odleciał, ciężko machając skrzydłami.

Czarne małpy urwały nagle swe krzyki i trwożny rechot.

Siedziały na gałęziach i nieruchomym wzrokiem wpatrywały się w człowieka, niosącego małpkę.

Herkules podał ją Jurkowi, szepcząc:

— Mały „mussu“ brać „uruhu“ dla zabawy!

Pan Bolesław nic nie mówił, bacznie przyglądając się synowi.

Jurek wziął małpiątko. Podniosło na niego rozumne, piwne oczki i przytuliło się do chłopaka, objawszy go długimi, włóchatemi rączkami.

Siedząca na najbliższej gałęzi małpa wydała krótki, lecz bardzo żałosny krzyk.

Jurek pomyślał sobie, że, być może, zrozpaczona matka woła swoje dziecko, które uważa już za zgubione na zawsze.

— Dziękuję, miły Herkulesie — powiedział do murzyna — ale ja wolę dać temu drobiazgowi wolność!

To mówiąc, zbliżył się do krzaków i posadził małpkę na gałęzi młodego drzewka.

Nie zdążył przejść kilkanaście kroków, gdy jedna z małp zeskoczyła z drzewa i porwała małpkę.

Jurek usłyszał jej basowy, radosny i rzewny głos.

Gdy powróciła do stada, tuląc do piersi odzyskane dziecko, małpy powitały ją urwanym, łagodnym pomrukiem, a potem umilkły i znowu przyglądały się ludziom, zapewne z wdzięcznością, lecz Jurek ze znacznej odległości nie mógł się o tem przekonać.

Po chwili ruszyli w dalszą drogę.

Gdy chłopak spojrział na ojca, ten uśmiechnął się do niego serdecznie i mruknął:

— Sprawiedliwie postąpiłeś, mój mały! Nie wolno więzić żywych istot dla przyjemności zabawy!

Słowa te ucieszyły Jurka. Dumny był z pochwały ojca, którego kochał gorąco.

Wkrótce inne wrażenia zatarły jednak radosne uczucie dobrego uczynku. Chłopak zobaczył stadko zielonych, hałaśliwie skrzeczących papużek, które ścigały czarnego orla o pięknym, białym ogonie.

Drapieżnik unosił w szponach zielonego ptaka.

Papuzki otoczyły go wkrótce ze wszystkich stron, podlatywały do straszliwego wroga i nie-litościwie skubały go. Coraz częściej leciały wyrwane mu pióra i wyszarpięty puch.

Śmiałym i zgodnym atakiem małe ptaki zmusiły olbrzyma do zwolnienia porwanej papuzki. Rozpaczliwie machnąwszy skrzydełkami, spadła w zarośla trzcin, skrzecząc trwożnie.

— Widzisz, synku, jak to w naturze każdy ptak i każde zwierzę czyha i napada na inne — słabsze i bezbronnejsze? — zapytał pan Waniewski. — Tak też dzieje się i wśród ludzi... To — wielki grzech! Przecież pamiętasz przykazania Boskie i naukę Chrystusa Pana?...

— Kochaj bliźniego swego, jak siebie samego! — natychmiast odpowiedział Jurek.

— Właśnie! Właśnie! — westchnął ojciec. — Tymczasem ludzie walczą ze sobą nie tylko podczas wojny ale i w życiu codziennym — oszukując się, mszcząc i rzucając sobie ciężkie oszczerstwa...

Pan Waniewski umilkł.

Jurek też się nie odzywał, bo nagle zrobiło mu się czegoś smutno.

Spostrzegł to ojciec i, uśmiechając się do chłopaka, powiedział:

— Za dziesięć minut dojedziemy już do osady Bangui, gdzie moi przyjaciele oczekują na nas z obiadem. Głodny jesteś, Jureczku?

Chłopak popatrzył na ojca i, pochyliwszy się, ucałował go w rękę, trzymającą kierownicę.

— Jechałbym tak z tatusiem przez całe... całe życie! — szepnął gorąco.

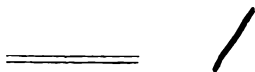
— To dobre na tymczasem, póki jesteś jeszcze mały — rzekł ojciec poważnym głosem — lecz za kilka lat musisz już jechać sam — własną drogą i o własnych siłach, synku!

Westchnęli obaj i umilkli znowu.

Wkrótce ujrzeni pierwsze zabudowania dużej osady murzyńskiej — Bangui.

Na przeciwległym brzegu potoku, przepływającego koło wsi, stał otoczony ciemno-zielonemi mangowcami biały dom europejski o oknach, zasłoniętych żaluzjami.

Samochód, okrążywszy trawnik z rosnącym pośrodku drzewem bananowem, zatrzymał się przed zacienioną werandką.



ROZDZIAŁ IV.

NA LEŚNEJ DRODZE.

Po obiedzie w gościnnym domu kupca Boncour, przyjaciela pana Waniewskiego, podróżnicy wypoczywali aż do godziny czwartej, poczem ruszyli dalej, bo słońce nie dokuczało już swym skwarem.

Dobra droga skończyła się wkrótce i teraz zaczęła się inna, o jakiej Jurek pojęcia nie miał.

Przerąbali ją murzyni na rozkaz białych ludzi.

Tak wężka, że dwa samochody z trudem mogłoby się na niej wyminąć, szła przez dżunglę i zarośla krzaków. »

Plant drogi leśnej zbudowano w sposób, znany wyłącznie w Afryce.

Robotnicy, zasypawszy doły po wykarczowanych pniach, ziemię okryli grubą warstwą

faszyny, czyli prętów i bambusów, skrapiając je wodą z odrobiną cukru i mąki.

Taka praca odbywała się przez dzień cały, w nocy zaś przybywali inni robotnicy, ukryci od oczu ludzi. Były nimi termyty. Małe, ślepe owady, podobne do mrówek, a żyjące pod ziemią lub w zbudowanych przez nie wysokich kopcach.

Miljony pracowitych, mądrych istotek przychodzi tu w nocy i natychmiast rozpoczyna roboty budowlane, przynosząc ze sobą ziemię, przerobioną w żołądku na cement.

Termity budują sklepienie nad zbryzganym słodką wodą pokładem faszyny.

Postępują w ten sposób za każdym razem, gdy znajdują jakieś pożywienie.

Pochodzi to stąd, że termyty nie znoszą słońca.

Znalazłszy coś do zjedzenia, natychmiast pokrywają to warstwą swego cementu i doprowadzają do niej krytą galerję, biegnącą od gniazda.

Gdy termyty powloką ułożoną warstwę prętów i trzcin cementem, murzyni ubijają go ciężkimi walcami i kładą nową faszynę, którą owady znowu okrywają swoim budulcem.

Taka wspólna praca ludzi i termitów powtarza się do trzech lub pięciu razy, poczem powierzchnia drogi staje się równą i twardą.

W takim stanie trwa przez lato, bo gdy nastaje zima podzwrotnikowa, szalone ulewę rozmywają drogę, a od starych korzeni odrastają młode pędy i tworzą gęste zarośla.

Są to tak zwane *sezonowe* drogi, wymagające każdego roku odnowienia.

Samochód pana Waniewskiego toczył się powoli, bo droga dopiero niedawno została odbudowaną, a powierzchnia jej plantu nie stwardniała jeszcze dostatecznie.

Minąwszy o zmierzchu małą wioskę murzyńską, podróżnicy przebyli płytki potok i wjechali na marny odcinek drogi, okrytej głębokimi dołami.

Inżynier z trudem prowadził maszynę, omijając te przeszkody.

— Któż to tak popsuł drogę? — zapytał Jurek.

Pan Waniewski uśmiechnął się i odparł:

— Przeszło tu stado słoni, mój mały! One to wycisnęły te ślady swemi ciężkimi nogami.

Chłopak klasnął w dłonie i zawołał:

— Muszą więc być wpobliżu? Jakżeżbym chciał ujrzeć je zbliska!

Ojciec zaśmiał się cicho i rzekł:

— Ej, chyba odeszły już daleko! Słonie nie lubią paść się przy drogach i w miejscach, gdzie są osiedla ludzkie. Te ciężkie olbrzymy

z łatwością miaszerują po osiemdziesiąt kilometrów na dobę. Zapewne żerują teraz gdzieś przy granicy Liberji! Ostrożne to i czujne zwierzęta!

Inżynier zaczął opowiadać synowi o obyczajach słoni afrykańskich. Jurek dowiedział się, że są daleko dziksze od indyjskich i z trudem dają się ułaskawić. O przyzwyczajeniu ich do pracy, jak to czynią Hindusi ze swemi słoniami, nie może być mowy.

Chłopak dowiedział się niezwykle ciekawych rzeczy o tych olbrzymich zwierzętach. Pan Waniewski opowiadał mu o wywiadach, czynionych przez stare słonie, o napadach ich na pola murzyńskie i o dalekich wyprawach odbywanych w poszukiwaniu dzikiej papryki.

— Piekące strączki tej rośliny służą słoniom jako lekarstwo. Stwierdzono już nieraz, że ranne słonie kurują się papryką, która szybko goi głębokie nawet rany.

— To zupełnie tak, jak nasze psy! One też szukają jakichś ziół i zjadają je... — zauważył Jurek.

— Masz słuszość — potwierdził ojciec, zatrzymując nagle auto.

— Co się stało? — zapytał zaciekawiony chłopak.

— Musimy zapalić latarnie, bo za chwilę ściemni się zupełnie — rzekł inżynier i skinął na Herkulesa.

Murzyn zapalił reflektory, obejrzał motor i dołał smaru do pompki.

— No, a teraz zobaczysz inne rzeczy... — zaśmiał się pan Waniewski. — W nocy dżungla jest niemniej zajmująca, niż w dzień!

Jechali bardzo powoli, gdyż auto coraz częściej musiało zbiegać na dno dość głębokich wąwozów i brnąć przez potoki o kamienistym lub zamulonym dnie.

Przejeżdżając przez mętną, grząską rzekę, gdy snop światła, odrzucanego przez latarnie, oświetlił jej brzeg, Jurek spostrzegł dwa czerwone ogniki, które zapaliły się w trawie i wnet zgasły.

Jednocześnie dobiegł go głośny syk i plusk wody.

— Co to było? — szepnął chłopak.

Ogniki te spostrzegł też Herkules, więc, pochyliwszy się do Jurka, powiedział swoją łamaną mową:

— Krokodyl spać trawie... krokodyl lękać się auto... skoczyć woda! Cha-cha-cha!

— Ale skąd te ogniki, migające w trawie? — spytał chłopczyk, dotykając ramienia ojca.

Pan Waniewski objaśnił go, że oczy wszystkich zwierząt, za wyjątkiem ludzi i małp, zaczynają świecić, gdy padają na nie jaskrawe

i silne promienie latarni. Wprawni myśliwi potrafią zupełnie ściśle określić gatunek zwierzęcia z błysku ślepi.)

Niezmiernie zainteresowało to Jurka.

Patrzył teraz przed siebie, pragnąc ujrzyć jarzące się źrenice zwierząt, oświetlonych reflektorami samochodu.

Czekał niedługo, gdyż na zakręcie drogi mignęły mu czerwone iskierki, a po chwili ujrzał stojącą nieruchomo antylopę z ostremi, czarnymi różkami.

W promieniach światła wydawała się śnieżno-białą, i tylko oczy płonęły jej czerwonym ogniem.

Antylopa stała nieruchomo, wpatrzona w nieznany, oślepiający ją przedmiot, szybko toczący się ku niej.

Skoczyła w gąszcz dopiero, gdy auto ryknęło krótko i głucho.

Z pod kół samochodu co chwila wyrzywały się „vanneaux“ i z ochrypłym krzykiem znikwały w mroku.

Niektóre jednak zawracały natychmiast i leciały na światło, uderzając się o siatki, zabezpieczające latarnie, i spadając na ziemię.

Na oświetlonych gałęziach drzew tam i sam zapalały się czerwone i zielone ogniki, a pan Waniewski i Herkules wskazywali je chłopakowi i opowiadali:

— Na kauczukowym drzewie zanocowało sobie stadko papug... Widzisz kilka czerwonych iskier? Ptaki patrzą jednym okiem, bo drugie pozostaje w cieniu... Tam na szczycie suchego „karite“ płonie też czerwony ognik, ale znacznie większy... zapewne, jest to drapieżny ptak: białogoniasty orzeł, czy może, sęp... Patrz! Patrz! Na konarze baobabu zapaliły się dwa zielone punkciki... Jakiś czworonożny drapieżnik skrada się do zwężonej przezeń zdobyć...

— Jakież to drapieżnik? — pytał szeptem Jurek.

— Musi to być plamista *mangusta*... lub czarna w białe centki *cynoeta*... — odpowiedział pan Waniewski.

— Nie, mussu! — zaprzeczył murzyn. — Być to *serval*, duży, dziki kot pręgowany... skradać się do antylop, które zaczęły się w zaroślach bambusowych... Serwal skakać na grzbiet... gryźć... a potem — jeść, dużo jeść!...

Okolo północy zdarzył się wypadek. Pękła opona.

Póki inżynier z murzynem zdejmowali koło i pompowali powietrze do nowej kieszki, Jurek chodził po drodze i przyglądał się jej z ciekawością, wiedząc już, że została zbudowana przez termity.

Wkrótce spostrzegł połyskujące w kurzu zielone isierki.

Pomyślał, że są to jakieś barwne kamyczki, świecące w promieniach latarni.

Schylił się i już wyciągnął rękę, by je wygrzebać z piasku, gdy nagle ze wstrętem cofnął ją i wydał lekki okrzyk przerażenia.

Zobaczył dużego, szarego pajaka.

Jakgdyby pancerz okrywał jego opasłe ciało, a długie, grube nogi grzebały w kurzu i co chwila posuwały zdobycz ku puszczy.

Jurek domyślił się, że bandyta nocny poluje na termity, wychodzące na powierzchnię, zbudowanego przez nie sklepienia, lub na inne owady.

Chłopak zbliżył się do ojca i opowiedział mu o pajaku.

Inżynier kiwnął głową i rzekł:

— Tysiące ich o zmroku wychodzi na drogi i żeruje. Są to pajaki-kraby, biegające bokiem, a tak twarde, że trudno je zabić. Będziesz, mój mały, znajdować je na ścianach naszego domu, a nawet w łóżku, jeżeli służba niedokładnie podwinie siatkę pod materac... Na szczęście, nie napadają na ludzi, a są nawet ich sojusznikami...

— Te wstrętne pajaki?! — zawołał Jurek.

— Tępią one komary, gryzące bąki, a nawet jadowite jaszczurki — objaśnił ojciec.

Naprawa koła zabrała im całą godzinę.

Już świtać zaczęło, gdy dojechali do koncesji leśnej, którą kierował pan Waniewski.

Zmęczony i śpiący Jurek ujrzał na pagórku nieduży gaik. Pod palmami „rafja“ *) i mangowcami stał parterowy, bielutki domek z małą werandką, ze spuszczonemi żółtemi firankami. Okna zasłonięte były niskozwisającym okapem strzechy i pomalowanemi na zielono matami z włókien „rafji“ i prętów bambusowych.

— Za chwilę będziemy już w domu! — zawołał ojciec Jurka i dał trzykrotny sygnał.

Ze stojących na uboczu stożkowatych trzciniowych chatek wybiegło natychmiast kilku murzynów.

Czarni ludzie wymachiwali radośnie rękami i krzyczeli coś, czego z poza turkotu motoru nie można było dosłyszeć.

Na werandę wyszedł biało ubrany człowiek i dawał znaki hełmem, witając przybywających.

— To mój pomocnik, mister John Burney *) — młody, dzielny inżynier amerykański i znakomity strzelec! — rzekł do Jurka

*) Ten rodzaj palmy dostarcza mocnych włókien, zdatnych do wyrobu grubych tkanin, dywanów, mat i lin.

*) Czytaj: Dżon Barnej.

pan Waniewski i, podnosząc rękę, krzyknął po angielsku:

— *Hallo, John!*

Wkrótce młody Amerykanin serdecznie witał swego szefa i potrzasał rękę Jurkowi.

Chłopakowi bardzo się podobała poważna, łagodna twarz młodzieńca, jego śmiały, jasne oczy i zwinna, muskularna postać.

Burney wyczuł to i, uśmiechając się, mruknął do chłopczyka:

— *Well! **)* Zabiorę ciebie ze sobą na polowanie, mój mały przyjacielu!

Jurek aż podskoczył z radości. —



**) Czytaj: nel.

ROZDZIAŁ V.

JUREK — PRZYRODNIK

W domu ojca Jurek czuł się wyśmienicie.

Wszystko go tu interesowało. Uczył się codziennie, nie z książek, lecz z żywej natury i z rozmów z ludźmi, którzy spędzili w Afryce długie lata i polubili ten kraj potulnych, uczciwych ludzi o czarnej skórze, kędzierzawych włosach i o sercach dużych dzieci.

Cały dom przepełniony był zbiorami afrykańskimi.

Nietylko skóry zabitych przez młodego inżyniera zwierząt — nieraz najrzadszych, jak na przykład „prosiaka ziemnego“ — wroga termitów, lecz nawet pięknie wypchane okazy ich stały po kątach, na półkach lub też wisiały na ścianach.

W biurze umieszczono oszklone szafki, pełne owadów i tek, zawierających zielniki.

Broń murzyńska — łuki, kołczany, strzały, oszczepy, miecze i maczugi, maski i stroje czarowników, amulety, bożki z gliny, skóry i drzewa zdobiły ściany gabinetu pana Wawniewskiego i Burneya, a barwne tkaniny tubylcze okrywały posadzkę i zwieszały się z sufitu, tworząc z holu wzorzysty namiot.

Dom oddawna zamienił się w jakieś muzeum afrykańskie, gdzie żądny wiedzy Jurek uczył się codziennie, dowiadując się rzeczy mu nieznanych, a ciekawych niezmiernie.

W tych kilku izbach domu amerykańskiej firmy drzewnej chłopak doskonale poznawał Afrykę, jej przyrodę — a więc zwierzęta, roślinność i obyczaje, wiarę i prawo, kierujące życiem murzynów.

— Mój Boże! — wzdychał Jurek. — Jakżeżby się ucieszył nasz profesor przyrody, gdyby mógł mieć wszystkie te zbiory w swoim gabinecie gimnazjalnym!

Ojciec spojrzał na chłopaka z uśmiechem i odparł natychmiast:

— Któż ci broni, mój syneczku, sprawić mu tę przyjemność?

— Jakto? — spytał Jurek, nie rozumiejąc jeszcze.

— Masz przed sobą, całe dwa miesiące wakacyj, spędzanych w Afryce i to w tak bogatej i pięknej kolonji, jak Wybrzeże Kości

Słoniowej. Dlaczegoż nie miałbyś łapać i preparować owadów, gromadzić i suszyć roślin dla zielnika? John nauczy cię tej sztuki, a Herkules, który pomaga w tem Burneyowi, będzie ci w tych wyprawach przyrodniczych towarzyszył chętnie.

— Prawda! — ucieszył się Jurek. — Zaczynam więc zaraz po obiedzie!

— Bardzo pochwalam ten zamiar! — powiedział pan Waniewski i natychmiast dał potrzebne zlecenia Herkulesowi.

Ten, uśmiechając się życzliwie, słuchał i kiwał głową, mruczając:

— Dobrze... dobrze, mussu... Zbierać motyle, pająki, kwiaty... Herkules znać miejsca, gdzie być gniazda dużych, czarnych pajaków, tych, które chwytają małe ptaszki... Znaleźć tarantule... skorpjony...

Od tego dnia Jurek wraz z murzynem spędzał dużo czasu w dżungli, wychodząc z domu skoro świt, gdy słońce niezbyt jeszcze dokuczało swym żarem.

Wkrótce chłopak zgromadził dużą ilość motyli — ogromnych, barwnych i małych — niekiedy podobnych do iskier, tak bogato nowojorskiego, wymieniał nazwy wszystkimi kolorami tęczy, to znów skromnych, szarych lub czarnych.

Burney, który znał się na zoologii i botanice, gdyż układał swoje zbiory dla muzeum

nowojorskiego, wymieniał nazwy wszystkich okazów, a Jurek pisał je na małych kartkach, przyczepionych do zasuszonych owadów.

Pewnego razu Herkules poprowadził chłopaka do dużego osypu kamieni, widniejącego na brzegu małej rzeki, płynącej przez dżunglę.

Murzyn przewracał kamienie grubym kijem.

Jurek spostrzegł wkrótce nigdy niewidziane stworzenia.

Wyglądem swoim przypominały mu raki. Ogony tylko miały niezwykle długie, cienkie i zadarte wysoko, a zakończone zakrzywionymi, ostreimi haczykami.

— Skorpjony! — szepnął Herkules, ostrożnie biorąc zwierzątko dwoma patyczkami i wrzucając je do słoju ze spirytusem, zmieszanym z formaliną.

Były tam skorpjony żółte — większych rozmiarów i mniejsze — czarne, bardzo zwinne i ruchliwe.

W domu dowiedział się od Burneya, że zadrągnięcie jadowitym haczykiem skorpjona powoduje u ludzi opuchliznę, dolegliwy ból i gorączkę, a nawet zakażenie krwi, które kończy się nieraz śmiercią człowieka, zranionego przez trujący owad.

— Szczególnie niebezpieczne jest zadraśnięcie czarnych skorpionów, murzyni nazywają je „duchami śmierci“ — objaśnił Amerykanin, przyglądając się zdobyczy Jurka.— Nie wiem, czy rana, zadana przez nie, jest zawsze śmiertelna, lecz w każdym razie należy ją natychmiast wypalić ostrym kwasem, lub rozgrzanem do białości żelazem.

Jurek zdobył też inne jeszcze pająki.

Kryły się one w okrągłych norach, wykopanych w ziemi.

Wygnać ich stamtąd nie było żadnej możliwości, lecz Herkules wiedział, w jaki sposób je można wypłoszyć.

Zabrawszy ze sobą butelkę z wodą, wylewał ją do nory, a wtedy z podziemnej skrytki gramolił się duży, czarny lub brunatny pająk, o długich i grubych nogach. Ten rodzaj pajaków nosi włoską nazwę „tarantula“. Trujące ugryzienie pająka w klimacie gorącym uważa się za bardzo niebezpieczne, daleko groźniejsze dla życia człowieka, niż ugryzienia jego pobratymców, spotykanych w Hiszpanji, Italji i Azji.

Tarantule i skorpiony są nieprzejednanemi wrogami, i zbrojne spotkanie się ich kończy się zawsze śmiercią jednego z zapaśników.

Jurek wraz z Herkulesem nałapali sporo tarantul, przechowując je w słoiku, napelnionym alkoholem z gliceryną, co im doradził Burney, mówiąc, że taki płyn konserwuje włosy, któremi okryte jest ciało jadowitych pajaków.

Wiele czasu poświęcił Jurek na zbieranie najbardziej rozpowszechnionych w Afryce owadów-termitów i mrówek. Istnieją różnorodne gatunki tych żyjątek, chłopak więc strawił kilka dni, by dotrzeć do wnętrza kopców termitowych. Były to wysokie do dwóch metrów budowle stożkowate, wzniesione z cementu, albo podobne do głazów okrągłe zwały szarej, twardej jak granit ziemi, lub zabawne, przypominające grzyby chatki, okryte strzechami o zwisających okapach. Zamieszkiwały je termyty, należące do różnych gatunków.

Mrowiska afrykańskie mają też wygląd osobliwy.

Rzadko je można spotkać na powierzchni ziemi.

Najczęściej ukryte są pod ziemią, a niekiedy nawet w dziuplastych pniach gnijących drzew.

Jurek znajdował małe mrówki o czarnem lub białem zabarwieniu, inne były większe lub zupełnie duże — brunatne lub czerwone.

Jedne z nich wydawały ostry, przykry zapach gnijącego mięsa, z jakiego powodu nadano im nazwę — „mrówek trupów“; inne — wyrzucały z odwłoków gryzącą ciecz, za pomocą której broniły się przed wrogami; były też takie, które wydawały dźwięki, podobne do ostrego chrzęstu.

Czarne mrówki o długich nogach nazywały się tu „włóczęgami“ lub „zbójcami“. Nie budowały sobie gniazd, włóczyły się gromadami, czyniąc zuchwałe napady na mrowiska i kopce termitowe.

Herkules znalazł niedużą, czerwona mrówkę o czarnej plamie na odwłoku i, pokazując ją Jurkowi, rzekł jakgdyby wylękłym głosem:

— *Manjan... manjan!...*

Na pytania chłopaka, zaciekawionego tem, powtarzał z przestachem w oczach:

— O, mały mussu! O, dobry mussu!

Jurek dopiero w domu się dowiedział, że mrówki-manjan są postrachem murzynów.

Z niewiadomej przyczyny owady te w pewnych okresach wychodzą z mrowisk, tworzą olbrzymie armje i rozpoczynają pochód.

Wszystko, co tylko po drodze spotyka groźna armja mrówek — ginie śmiercią straszliwą. Koczujące owady pożerają trawę, liście drzew, ptaki i zwierzęta, które nie zdołały ratować się ucieczką, zasiane pola, wszelki do-

bytek ludzi, a więc: śpichrze z manjoką, kukurydzą i ryżem, śpiżarnie, drób, bydło, a czasem nawet pożerają dzieci i starców, którzy nie zdążyli opuścić domów, napadniętych przez żarłoczne i drapieżne mrówki — „manjan“.

— Po przejściu takiej koczującej armji pozostaje naga pustynia i kości pożartych przez mrówki zwierząt, a czasem i ludzi! — zakończył swoje opowiadanie pan Bolesław.

W ciągu kilku dni Jurek zgromadził bardzo obfite zbiory, a Burney starannie je opakował i przygotował do dalekiej drogi.

Jurek z kolei zabrał się teraz do zbierania roślin.

Obiecywał sobie, że przywiezie i podaruje swemu profesorowi piękny zielnik.

Na pierwszą wyprawę botaniczną wyruszył razem z Burney'em i olbrzymim, roześmianym Herkulesem.

Amerykanin doradzał, jakie należy zbierać rośliny, i wskazywał najrzadsze rodzaje drzew, krzewów i traw.

Zbierano też owoce, a murzyn, szczerząc zęby, obiecywał Jurkowi, że wysuszy mu je wspaniale i ułoży w drewnianych skrzynkach z przegródkami.

Po pierwszej wyprawie chłopak zapuszczał się do dżungli już tylko w towarzystwie wier-

nego Herkulesa, z którym zaprzyjaźnił się na dobre i z żalem myślał o rozstaniu się z nim.

W pokoiku Jurka z dniem każdym gromadziło się coraz więcej tek, wypełnionych arkuszami grubej bibuły, w której suszyły się okazy zielnika.

Podczas jednej z wycieczek, w chwili, gdy Herkules wlaźł na drzewo, aby zrywać owoce „kapoku“ — podobne do podłużnych orzechów, zawierających we wnętrzu biało-srebrzysty puch, przed Jurkiem, zbierającym obok żywicę kauczukową, coś raptownie spadło na ziemię.

Chłopak zobaczył ogromnego, czarnego i kosmatego pajaka.

Był tak duży, jak pięść Jurka, a jego grube i krótkie nogi okryte były czarnym włosiem.

Pajak, podniósłszy się na nogach, stał w groźnej postawie.

Jurek pokazał go murzynowi, który wkrótce zeszedł z drzewa.

— Aj-jo! — zawołał Herkules. — To największy pajak! Mussu nazywać go „Mygale“. On napadać małe ptaszki i zabijać...

Po chwili „mygale“ powędrował do słoju z alkoholem i formaliną.

Do towarzystwa dodano mu kilka pajaków-krabów i parę olbrzymich, rogatych żuków o straszliwie długich wąsach.

Dzień, w którym złapano „mygale“, obfitował w bardzo niebezpieczne spotkania. Powracając do domu, na obiad, przyjaciele przechodzili przez zwaliska kamieni i piargów, pozostałych po wznoszących się tu niegdyś skałach.

Droga była niełatwa, bo kamienie co chwila usuwały się z pod nóg. Ludzie ślizgali się na nich i potykali, tłukąc sobie i kalecząc stopy.

Herkules wydał nagle przeraźliwy okrzyk i uskoczył na bok, wołając:

— Uciekaj!... Uciekaj, mały mussu!

Jurek, nie namyślając się i nie tracąc ani chwili, poszedł za przykładem murzyna, odbiegając na stronę.

Staął obok Herkulesa i zapytał go z trwogą w głosie:

— Cóż cię tak nastraszyło?

Murzyn, drżąc cały, odpowiedział szeptem:

— O-o, mussu, ujrzeć tuż przed sobą dużą, starą „naja“...

... Naja? — powtórzył chłopak.

— Najjadowitsza żmija, która niesie śmierć...
C. naja — to straszna żmija!

Jurek jął oglądać kamienie, z których obaj zeskoczyli przed chwilą.

Wkrótce zobaczył żmiję. Długa na półtora metra, leżała zwinięta, a nad skręconem jej cia-

łem wznosiła się mała główka, ledwie widzialna na rozdętej w kształcie kołnierza szyi. Żółte oczy błyskały jej wściekle, w rozwartej paszczy występowały dwa zakrzywione kły, i szybko śmigał czarny język. Ogon żmiji prężył się i drgał.

— Uciekajmy, mussu, uciekajmy! — błagał Herkules i, porwawszy chłopca na ręce, przesadził pobliskie krzaki i wpadł do dżungli, mrużąc:

— Herkules nie bać się lew i pantera, zato bać się „naja“, o, bać się bardzo, bardzo!

Gdy do tartaka pozostawało jakie dwa kilometry, bo już dobiegał turkot motoru i zgrzytanie szybko obracających się, okrągłych pił, Jurek spostrzegł wysuwającą się z pod korzenia płaską, trójkątną głowę innej żmiji.

Wskazał ją murzynowi, pytając, czy to znowu nie „naja“, przypadkiem, lecz Herkules uspokoił go, mówiąc:

— Wipera... zwykła wipera... Żmija jadowita... lecz nie być żmija śmierci... Mussu Burney leczyć rany kłów wipery... gorące żelazo... dymiący kwas...

To mówiąc, wyciął długi pręt, rozwidlony na końcu i, zaszedłszy od tyłu, przycisnął głowę płazu do ziemi.

Gdy zdechła, włożono ją do blaszanki.

Jurek obejrzał zdobycz uważnie. Żmija posiadała szarą barwę, była gruba, jak ręka chłopaka w przegubie, i długa na trzy czwarte metra.

Podczas następnych swoich wypraw, Jurek kilkakrotnie miał spotkania z „wiperami“, lecz płazy nigdy nie atakowały go i kryły się w stosach kamieni lub pod gnijącymi kłodami.

Herkules, skradając się bez szelestu, doprowadzał chłopaka do drzemiących w cieniu drzew antylop — małych i rudych, tak zwanych — antylop - świni, z powodu wydawanego przez nie chrząkania, a nawet wielkich, jak nasze krowy, „kob“. Pokazywał mu też pasiaste antylopy o niezmiernie ostrych, jak szydła, rogach i śmiałe, wojownicze, „sing-singi“ o rogach, podobnych do świdrów.

Pewnego dnia, już przed wieczorem, przezierali się przez bambusowe zarośla tuż nad brzegiem rzeki.

Zdaleka już posłyszeli plusk wody i głośnie pomruki.

Murzyn położył się na ziemi i, nic nie mówiąc, znakami zmusił Jurka, aby uczynił to samo.

Długo tak pełzli, ostrożnie rozsuwając baidyle bambusów, aż wytknęli z nich głowy i ujrzeli przed sobą brzeg powolnie płynącej, mętnej rzeki.

— Tamta strona — to już Liberja, wolny kraj czarnych ludzi... — szepnął murzyn, lecz po chwili syknął i położył palec na ustach, oczami wskazując na rzekę.

Jurek spojrzał i ledwie się powstrzymał od głośnego okrzyku.

Ujrzał bowiem przed sobą piękny i niezmiernie rzadki obraz.

Z prawie czarnej toni wynurzały się ogromne łby hipopotamów. Wybałuszone, jakgdyby u olbrzymich żab, oczy wpatrywały się podejrzliwie w haszcze nadbrzeżne, małe uszki poruszały im się niespokojnie. Zwierzęta co chwila roztwierały paszcze z potwornymi kłami, głośno i chrapliwie wciągając powietrze.

Na brzegu, opuściwszy pysk do wody, stał ciemno-szary byk z grubemi, rozłożystemi rogami i pił. Ogonem bił się po biodrach, strasząc dokuczliwe bąki. O kilkanaście kroków dalej, stojąc w rzece po kolana, kąpała się para słoni. Zlewały sobie grzbiety wodą, wyrzucaną z trąb, i bez przerwy wachlowały się szerokimi uszami, czujnie nasłuchując i od czasu do czasu wydając basowe mruczenie.

Po kąpieli wgramoliły się na grząski brzeg i nagle podniosły trąby i nastawiły uszy. Jakieś zwierzę wyskoczyło z wysokiej trawy i z pluskiem pogrążyło się w wodzie.

Jurek poznał krokodyla.

Wystawiwszy długi, zębaty pysk, płynął rzeką, a jego grzebieniasty kark co chwila wynurzał się z wody, wspienionej uderzeniami silnego ogona.

Chłopak wydał głośny okrzyk radości, że widzi na wolności wszystkie tak rzadkie okazy zwierząt.

Ledwie przebrzmiał głos chłopca, gdy obraz raptownie się zmienił.

Z donośnem westchnieniem znikły pod wodą głowy hipopotamów, z hałasem i łomotem tratowanych krzaków rzuciły się do ucieczki spłoszone słonie, dziki bawół, prychnąwszy wściekle, zawrócił na miejscu i jednym susem wpadł w gąszcz, a nawet krokodyl pograżył się w odmęty rzeczne, i tylko lekka smuga wzburzonej wody świadczyła o tem, że gad płynie pod jej powierzchnią, oddalając się coraz bardziej.

Wkrótce zapadła cisza.

Mąciły ją tylko ryby, z pluskiem wyskakujące z rzeki, gadatliwy skrzek papug, usadawiających się na nocleg i dalekie rechotanie małp.

Herkules powstał z ziemi i z uśmiechem rzekł do Jurka:

Biuro Zakładowe
Pracowni Książek
A. P. Kolo O. 10. 61. 10 p.
Stenkiwicz 1 a

 _____

— Mussu widzieć dzikie bestje... cha! cha!
cha! A teraz do starszego mussu biegiem... bie-
giem, bo noc nastąpić szybko!...

Przedzierali się przez dżunglę i parli co tchu
ku domowi.



ROZDZIAŁ VI.

POGOTOWIE RATUNKOWE.

Jurek wraz z nieodstępnym towarzyszem swoim — murzynem Herkulesem odbywali coraz dalsze wycieczki.

Pan Waniewski, żeby ułatwić synowi zwiedzanie okolicy, sprowadził z Grand-Bassam dobrą łódź, kazawszy spuścić ją na rzekę.

Od tego czasu Jurek mógł odpływać daleko od osady i coraz lepiej poznawać życie dżungli afrykańskiej.

Kilka razy śledził z zapartym oddechem wodopój dzikich zwierząt.

Zaczajony w łodzi, ukrytej w trzcinach lub pod zwisającymi gałęziami drzew, przyglądał się przychodzącym do wody antylopom, bawołom, brzydkim dzikom z narościami na ryjach, słoniom i drobnym drapieżnikom, jak mangusty, ciwety i serwale. Widział nieraz skradające się do rzeki hijeny i szakale; sły-

szał daleki poryk władcy dżungli — lwa, parskanie lamparta i miauczenie geparda. Szczególnie jednak lubił śledzić ruchy słoni, hipopotamów i krokodyli, które podpływały blisko do burty Jurkowej łodzi, lecz, spostrzegłszy w niej ludzi, dawały nura.

Murzyn wyciągał nieraz łódź na brzeg i prowadził małego przyjaciela do wiosek, zamieszkałych przez ludożerców — Bodo.

Tubylcy gościnnie i uprzejmie przyjmowali białego chłopaka, częstując go soczystymi owocami „papaja“, bananami, mlekiem kokosowym lub pieczonemi „patatami“, smakiem swoim przypominającemi nasze ziemniaki.

Murzyni trudnili się rolnictwem, z uporem trzebiąc dżunglę i walcząc z małpami, które niszczyły im pola. Byli to biedacy — ciemni i bezbronni. Nie umieli walczyć o swój byt, nie posiadając żadnej wiedzy i umierając od różnych chorób, pozbawieni pomocy lekarskiej. Rządzili nimi czarownicy — ciemni, jak cała ludność, lecz do tego okrutni i mściwi. Oni to namawiali murzynów do zabijania wskazanych im przez siebie ludzi i pożerania ich. Twierdzili przytem, że tego żądają „fetysze“ — posążki bóstw, wykute w kamieniu lub wyrzeźbione w drzewie.

Władze francuskie i angielskie ścigały murzynów za te morderstwa i ludożerstwo i ska-

zywały ich na długie lata więzienia, a nawet na karę śmierci.

Oszukani przez czarowników tubylcy cierpieli, a tymczasem prawdziwi winowajcy kryli się przed sprawiedliwością, uciekając poza granicę niezależnej republiki murzyńskiej — Liberji.

Wpobliżu laguny *), otoczonej dziewiczą dżunglą, Jurek ze swoim towarzyszem mieli niezwykłą przygodę.

Z prądem rzeki dopłynęli właśnie do obszernego, ciągnącego się na sześćdziesiąt kilometrów słonego jeziora. Mieli tu czekać przybycia Johna Burney'a.

Płynąc wpobliżu brzegu, usłyszeli nagle głośne bębnienie.

Ktoś bardzo silny z całej siły walił w bęben, który huczał głucho.

— Co się tam dzieje? — spytał Jurek, patrząc na murzyna.

Herkules nic nie odpowiedział i, kręcąc głową, nasłuchiwał.

Odgłosy bębna nie zbliżały się i nie oddalały.

Rozlegały się wciąż z tej samej odległości, chociaż łódź, poruszana dwiema parami wio-

*) Część morza, oddzielona piaszczystymi wydhami.

seł, dość szybko sunęła naprzód.

Zagadkowe bębnienie wyjaśniło się dopiero w godzinę później.

Podróżnicy zbliżali się do piaszczystego przylądka, gdzie zamierzali przybić dla wypoczynku, bo skwar zaczął dokuczać im dotkliwie.

Wysiedli z łodzi i ukryli się w cieniu drzew.

Jurek napił się zimnej wody z termosu, a Herkules gryzł orzechy ziemne, z którymi nie rozstawał się nigdy.

Bębnienie umilkło na chwilę, lecz wkrótce rozległo się już znacznie bliżej i znowu się urwało.

Zapanowała cisza, lecz niebawem spłoszyło ją nowe, jeszcze głośniejsze bębnienie, a wnet po niem żalosne skomlenie i nieśmiały pomruk.

Jurek uważnie rozglądał się dokoła, lecz nic nie dostrzegł.

Usiadłszy na piasku, drzemał.

Otworzył oczy, poczuwszy, że ktoś dotknął jego ramienia.

W tej samej chwili posłyszał szept Herkulesa:

— Mussu... patrzeć tam... tam... dżungla... suchy baobab!...

Chłopak spojrział we wskazanym kierunku i spostrzegł wiszącą na gałęzi dużą, czarną małpę z prawie białą twarzą.

Poznał szympansa, bo widywał te małpy w zwierzyńcach i w cyrku.

Szympanś, uczeplony jedną ręką gałęzi, drugą wyciągał ku ludziom, jakgdyby dając im znaki, lub z siłą uderzał się w piersi, powodując dźwięk, podobny do huczenia bębna.

Jurek, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, skoczył na równe nogi i pobiegł w kierunku małpy.

Szympanś wydał cienne skomlenie, przeskoczył na sąsiednie drzewo i obejrzał się, łagodnie pomrukując.

Chłopak szedł za nim, a szympans prowadził go za sobą, co chwila się oglądając i mrucząc cichym, pełnym prośby głosem.

— Herkulo! — zawołał Jurek. — Chodźmy za szympansem, bo on ma do nas jakiś pilny interes!

Murzyn, trzymając w ręku dużą i ostrą „maczetę” — szeroki, ciężki nóż, zastępujący tubylcom siekiere, dogonił chłopaka.

Szympanś prowadził ich za sobą, a gdy się zatrzymywali, bił się w piersi i potrząsał gałęzie, ni to w gniewie, ni to w rozpacz.

Wreszcie wyszli na obszerną polanę, gdzie pozostały resztki skał.

Wysokie krzaki okrywały je, a liany tworzyły dokoła gęstą sieć.

Szympanś zeskoczył na ziemię i, o jakie sto kroków wyprzedzwszy idących ludzi, wspiął

się na skały i, pochyliwszy się ku ziemi, zarechotał rozgłośnie i jękliwie.

Jurek z pomocą murzyna zaczęli piąć się po zboczach skał.

Małpa usunęła się na bok i zapadła w krzaki.

Wśród odłamków skały podróżnicy znaleźli samicę z małym małpiątkiem.

Szymponsica usiłowała podnieść się. Nie mogła jednak poruszyć się z miejsca. Przyciskając małe do piersi, szczyrzyła kły i warczała.

W piwnych, mądrych jej oczach miotał się strach.

Widząc zbliżających się ku niej ludzi, wydała przeraźliwy krzyk, na który natychmiast odpowiedziało małpiątko.

Samica umilkła naraz i przestała grozić kłami.

Z krzaków wynurzył się szympans i, stanąwszy na cyplu skały, zarechotał basowym głosem.

Leżąca małpa ucichła i znieruchomiała.

Jurek pochylił się nad nią. Rozamiał już, że coś się jej przydarzyło i, że zrozpaczony samiec sprowadził ludzi, aby pomogli jego chorej małżonce.

Ostrożnie dotknął chłopak prawego ramienia leżącej małpy.

Drgnęła, lecz nie wydała najsłabszego nawet dźwięku.

Wyraziste oczy małpy zdradzały bezgraniczny strach, lecz zaciskała zęby i tamowała oddech.

Obiema rękami obejmowała swoje dziecko i coraz silniej przyciskała je do kosmatej piersi, broniąc przed ludźmi.

Jurek już śmielej badał ciało szympanscy, rozumiejąc, że nie będzie się rzucała i sprzeciwiała.

Herkules pomagał chłopakowi.

Wspólnymi siłami przewrócili bezwładną małpę na prawy bok i przystąpili do oglądania lewej nogi.

Wkrótce się przekonali, że miała aż w dwóch miejscach strzaskane biodro.

Gdy dotykali go, szympanse nie broniła się wcale, drżąc tylko i z bólu zgrzytając zębami.

— Co tu robić?! — pytał Jurek, bezradnie patrząc na murzynę.

Herkules długo nie odpowiadał, a czoło mu się pomarszczyło od natłoku myśli.

Wreszcie dotknął ramienia chłopaka i mruknął:

— Herkules siadać łódka... płynąć szybko i szukać mussu Burney... Mussu Burney być

już blisko... przystań kompanji... Herkules płynąć?

Jurek skinął głową i poszedł za murzynem, który już biegł ku brzegowi laguny.

Siedzący opodal szympans krzyknął prze-
rażliwie i jął się walić pięściami w szeroką
pierś, która huczała, jak wielki bęben.

Od czasu do czasu wydawał krótkie, baso-
we dźwięki i wyciągał ręce ku ludziom, a w
ruchu tym było tyle błagania, że chłopak zro-
zumiał, o co mu chodzi.

Samiec prosił ludzi, aby nie opuszczali ska-
leczonej małpy.

Jurek powrócił i usiadł przy samicy.

Szympanś uspokoił się natychmiast i po-
wrócił na swoje dawne miejsce, pomrukując
łagodnie.

Chłopak przyglądał się leżącej przed nim
małpie i nie czuł już najmniejszego przed nią
strachu.

Wlepiwszy w niego mądre, lecz zbolale
oczy, patrzyła na chłopca uważnie, a wzrok
jej z każdą chwilą stawał się ufniejszy i spo-
kojniejszy.

Jurek spostrzegł, że małpa coraz to oblizuje
sobie suche wargi.

Zrozumiał, że czuje pragnienie. Zdjąwszy
z rzemyka termos, nalał wody do kubeczka

i przyłożył go do spieczonych warg zwierzęcia.

Szympansica długo wachała, aż wreszcie zaczęła pić chciwie, cichutko mrucząc i zerkając na chłopca.

Ugasiwszy pragnienie, wydała głuche, urwane rechotanie, wyrażając tem swe zadowolenie.

Samiec odpowiedział jej basowym okrzykiem: „o-o-o!”

Tymczasem szympansica, zwolniwszy z objąć jazgoczące małpiątko, zaczęła je karmić piersią, nie spuszczając wzroku z siedzącego obok chłopaka.

Szympansiątko, posiliwszy się, odpełzło od matki i zaczęło dokazywać. Śmiesznie się przewalało na zgiętych nóżkach, podpierając się lewą rączką, a prawą wymachiwało i wyrzywało trawę, podrzucając ją w powietrze.

Rechocząc i popiskując, maleństwo zbliżyło się do chłopaka i z całym zaufaniem wgramoliło mu się na kolana.

Jurek głaskał je po główce i drapał za odstającymi, gołemi uszkami.

Szympansiątko ulokowało się wygodnie, objęło chłopaka wpół i zmęczone usnęło.

Wtedy stała się rzecz dziwna i wzruszająca. Samica wydała krótki okrzyk: „o!” i, wpatrując się Jurkowi w oczy, wyciągnęła do nie-

go kosmatą rękę. Jurek ujął ją w swoje ręce i poczuł gorącą, nieokrytą włosiem, sztywną dłoń małpy.

Pogłaskał ją łagodnie i podrapał starą za uchem.

Mrużyła oczy i poddawała się tej pieszczocie z przyjemnością i zaufaniem.

Szympan-samiec, przewalając się niezgrabnie i ociągając, powoli i ostrożnie zbliżył się po chwili do Jurka.

Stał przed nim długo, badając go szczegółowo, aż wreszcie, uspokojony już zupełnie, usiadł obok i, zaglądając chłopakowi w oczy, wyciągnął do niego rękę.

W ten sposób siedzieli we czworo, nic do siebie nie mówiąc.

Właściwie to tylko Jurek milczał, bo stare szympansy ustawicznie gadały coś do siebie, gestykulując rękami i strojąc przeróżne, nieraz bardzo zabawne miny.

Jurek, chociaż mu się na śmiech zbierało, zachowywał powagę.

Nie chciał obrazić małp, nie rozumiejąc ich mowy.

Pamiętał, że nieraz oburzał się na chłopców, którzy śmiali się z cudzoziemców, zasługując tem na nazwę źle wychowanych i niecywilizowanych ludzi.

Tak minęła godzina, gdy nagle szympanś, przekręciwszy głowę na bok, jął nasłuchiwać i sapać.

Po chwili wstał, wdrapał się na drzewo i zaczął wśród gałęzi.

W jakiś czas potem dopiero Jurek posłyszał również dochodzące zdaleka krótkie, urwane stuki. Rozpoznał je wkrótce.

Wiedział już, że laguną płynie motorówka i zbliża się z wielką szybkością.

Turkot motoru urwał się wkrótce, i już z niewielkiej odległości doszły głosy ludzi.

Poczęły się zbliżać szybko, a Jurek poznał dźwięczny głos Burney'a i basowy, gardłany — czarnego Herkulesa.

Niebawem wynurzyli się z krzaków i zbliżyli do chłopaka.

Na widok ludzi szympanś wydała trwożny skowyt i, schwywszy małpiątko, ukryła je pod pachą.

Amerykanin, przyjrawszy się skaleczonej małpie, mruknął do Jurka:

— Szympanśy czują zaufanie do ludzi, lecz my nieraz źle się im za to odwdzięczamy...

Pochyliwszy się nad małpą, obejrzał złamaną nogę.

— O! — rzekł ze współczuciem. — Musiała spaść z wysokiej gałęzi, bo nie tylko połamiała sobie kości, lecz i potłukła się poważ-

nie... No, no! Pocierp trochę, biedaczko, może uda nam się doprowadzić cię do zdrowia.

Poleciwszy Herkulesowi przynieść kubek wody, usiadł przy małpie i, zdjawszy z siebie koszulę, jął drzeć ją na bandażę.

Długo potem zlewał wodą strzaskane biodro szympansicy, która wydawała rozkoszne pomruki, świadczące o jej zadowoleniu i uldze.

Burney, jako doświadczony podróżnik, znał się na medycynie.

Szybko złożywszy złamane kości, za pomocą kawałków kory i bandażu opatrzył nogę małpy i unieruchomił ją.

Ocierając sobie pot z czoła, usiadł i, głaszcząc ją po głowie, mówił:

— ΣΥΜΠΑΡΕΥ ΣΙ ΝΙ ΤΥΛΚΟ ΠΡΥΓΑΙΟΛΜΙ
człowieka lecz i jego dobroczyńcami. Znako-
mici lekarze sztucznie zarażają je najstra-
szliwszymi chorobami i robią doświadczenia,
jak należy leczyć te choroby, aby nie dziesiąt-
kowały ludzkości. W ten sposób wykryto
sposoby walki z dżumą, trądem, dudem i gru-
źlicą. Musimy więc być wdzięczni szympan-
som, mój mały przyjacielu, że one giną za
nas!

Jurek słuchał uważnie, pieszcząc małpiątko, które wyslizgnęło się z pod pachy matki i droczyło się z chłopakiem, przyskakując do

niego, to znów odbiegając z wesołym rechem.

— Teraz przeniesiemy naszą pacjentkę na motorówkę, bo chcę ją zawieźć do osady, gdyż inaczej do zdrowia nie powróci. Musimy ją leczyć starannie, opiekować się nią i dobrze odżywiać.

Na splecionych z gałęzi noszach przeniesiono szympansię na motorówkę i ułożono na materacu w kabinie.

Leżała spokojnie, gryzła suchary i zajadała świeże figi, lecz nie spuszczała oczu z drzew, rosnących nad brzegiem laguny.

Gdy motorówka, strzelając wybuchającą benzyną i turkocząc, ruszyła, małpa wydała rozpaczliwy okrzyk i zamierzała zerwać się do ucieczki.

Burney przytrzymał ją jednak i, głaszcząc po głowie, uspokoił.

Stojący na dziobie motorówki Jurek przyglądał się fali, podnoszonej przez nią, i swej bujającej łodzi, uwiązanej do „rufy“ *), gdy nagle poprzez hałas maszyny i syk wody, rozcinanej dziobem, posłyszał żalosne krzyki z brzegu.

Rozejrzawszy się dobrze, spostrzegł starego szympansa.

*) Tylnia część łodzi lub okrętu.

Czarne jego ciało migalo wśród gałęzi drzew, przerzucając się z jednego na drugie.

Małpa, czepiając się giętkich lian, kołysała się na nich i z rozmachem przelatywała nad polanami leśnymi, ścigając łódź, uwożącą mu żonę i dziecko.

Wjechawszy do głębokiego koryta rzeki, Burney puścił motorówkę całym pędem.

Samiec nie mógł już nadążyć za nią i — wkrótce rechotanie szympansa umilkło w oddali.

— Biedaczyna! — powiedział Jurek, podchodząc do Amerykanina. — Zapewne myśli, że porwaliśmy mu rodzinę?

Burney uśmiechnął się i odparł:

— Za trzy godziny dopłyniemy do naszej osady, a przed zachodem słońca stary szympanś będzie już krążyć w pobliżu i nawoływać!

Po przybyciu do domu umieszczono Magdę (bo tak nazwał Jurek ciągle zakłopotaną i stroskaną małpę!) w altance na sianie i przystąpiono do poważnej kuracji.

Szympanś miała gorączkę, a dreszcze wstrząsały jej kosmatym ciałem, Burney więc okrył ją kocami i wlał jej do pyska słodkiego piwa z chiną.

— Mój mały, — zwrócił się Amerykanin do chłopaka, — oddaję twej pieczy małe szym-

pansiątko. Matka nie może go karmić w gorączce, boby jej to małeństwo zmarło. Pędzisz więc żywił małpkę mlekiem i papką z chleba i bananów, ale bacz, aby jej nie przekarmiać, bo zabawny potworek łatwo może zachorować!

Jurek zamienił się w wychowawcę małpki.

Zaczął od tego, że dał jej na imię Filut, a szympansik wkrótce odzywał się na tę nazwę łagodnem rechotaniem, pił z łyżki mleko i jadł smaczną kaszkę z rozmoczonego chleba i mięszu bananów, oblizując się łakomie i płacząc, gdy Jurek mówił do niego:

— Dość już, dość, panie Filucie, bo brzuszek zaboli!

Stara szympanstica pokornie spełniała wszystkie żądania Burneya, dawała się oglądać i mierzyć sobie temperaturę, a nawet, marszcząc się okropnie, łykała gorzkie od chińskiego piwo.

Amerykanin zdjął nałożony w dżungli opatrunek i, zgoliwszy brzytwą sierść, oblepił złamane biodro małpy grubą warstwą gipsu.

Burney znał dobrze spryt szympansov.

Jeszcze noc nie zapadła, gdy do pokoju wbiegł Herkules, wołając:

— Stary „leśny człowiek“ *) siedzieć na drzewie koło domu!

*) Leśnym człowiekiem murzyni nazywają szympansy.

Jurek wybiegł na werandę i krzyknął radośnie.

Na zwisającej nad parkanem gałęzi mahoni siedział szympans.

Ujrzawszy chłopaka, wydał ciche, jakgdyby porozumiewawcze mruczenie.

Chłopak skinął w jego stronę ręką i skierował się ku altanie, gdzie przy chorej małpie siedziały, pojąc ją, i pomagając przewracać się z boku na bok, dwie stare murzynki.

Jurek wszedł do środka i, zaczaiwszy się za ścianą, zawołał:

— Magda! Magda!

Szympansica błysnęła w uśmiechu zębami i, zobaczywszy synka swego w ręku chłopaka, zarechotała radośnie.

Samiec zeskoczył na ziemię i ostrożnie skradał się ku altanie, idąc na głos szympansicy.

Zwęszył jednak murzynki i natychmiast powrócił na drzewo.

— Wyjdźcie! — rzekł chłopak do czarnych kobiet. — Zawołam was potem.

Ledwie wyszły i znikły w szopie dla robotników, gdy szympans stanął we drzwiach i jął się rozglądać dokoła.

Spostrzegł Jurka i wyszczerzył białe, potężne kły.

Chłopak już wiedział, że miało to oznaczać uprzejmy uśmiech, więc podszedł do szympansa i podał mu banan.

Stary samiec przyjął upominek i, ciężko stąpając, wszedł do wnętrza altany.

Pochyliwszy się nad leżącą Magdą, długo i troskliwie obwąchiwał i oblizywał jej pysk, palcami dotykając oczu jej i czoła.

Jurek zaśmiał się i mruknął:

— Uważasz, przyjacielu, że pani gorączkuje? Masz słuszość, lecz nie bój się, wkrótce wszystko przeminie!

Szympanś podniósł głowę i słuchał, wpatrując się w chłopca. Po chwili podszedł do niego i jął obwąchiwać śpiące szympansiatko.

— Filut zdrow jest, jak rydz, tylko łakomczuch z niego nielada! — objaśnił Jurek, głaszcząc pochrapujące maleństwo.

Gdy murzynki zbliżały się do altany, samiec wyszedł i, przelazłszy przez ogrodzenie, wdrapał się na drzewo.

Jurek, rozkazawszy postawić pod drzewem kosz z pomarańczami i kilku sucharami, powrócił do siebie.

Przez dwa tygodnie chłopak nie ruszał się z domu.

Całe dnie miał teraz zajęte doglądaniem chorej Magdy i wychowywaniem Filuta, któ-

ry nie odstępował go ani na krok i biegł za nim z głośnem rechotaniem.

Kuracja szła pomyślnie. Burney zdjął małpie sztywny opatrunek i nałożył inny, miękki, z szerokich, gumowych bandaży. Dwa razy dziennie robił masaż gojącej się nogi, a Magda krzywiła się, piszczała i stękała, lecz nie broniła się. Chwilami tylko, gdy silniejszy nacisk na kość sprawiał jej nieznośny ból, ręką przytrzymywała dłoń Amerykanina.

Gdy zaś, skończywszy zabiegi, pozostawiał ją w spokoju, brała go za rękę i, wyciągnąwszy wargi, dotykała niemi dłoni swego lekarza.

— Magda całuje pana po rękach! — zawołał zdumiony Jurek, zobaczywszy to po raz pierwszy.

Burney wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Nie wiem, co to ma oznaczać, lecz w każdym razie Magda w ten sposób wyraża mi swoją wdzięczność! Jest to bardzo wzruszający objaw inteligencji i szlachetności zwierzęcia!

Pod koniec trzeciego tygodnia, Amerykanin zwolnił szympansię od wszystkich bandaży i wyszedł z altany, pozostawiwszy pacjentkę samą.

Magda wstała, i, lekko kulejąc, wyszła na dziedziniec, rozglądając się dokoła bacznie i niespokojnie. Nie odpowiadała nawet na radosne okrzyki samca, który siedział na drzewie za parkanem i wyciągał ku niej ręce.

Sledzący ją Burney, szepnął do chłopaka:

— Wypuść Filuta na ganek, Jurku! Nasi przyjaciele za chwilę odejdą do dżungli!

Jurek z ciężkiem westchnieniem spełnił rozkaz Amerykanina.

Filut w podskokach i podrygach z piskiem podbiegł do matki.

Szympansica wzięła go na ręce, przytuliła do piersi i przelazła przez płot.

Stało się to przed wieczorem.

Nazajutrz nikt nie widział szympansów, lecz na trzeci dzień stary szympans powrócił i, usiadłszy na drzewie, długo i radośnie nawoływał:

— O-o-o-o!

Była to jego ostatnia, pożegnalna wizyta.

*

Jurek przez cały jeszcze miesiąc bawił w afrykańskiej siedzibie ojca, lecz już ciekawszej przygody, niż ta z mądrymi szympansami — nie zaznał.

Z żalem porzucał dżunglę, huczący i zgrzytający tartak, gdzie się uwijali czarni, zawsze uśmiechnięci robotnicy, rzekę, gdzie wynurzały potworne łby płochliwe hipopotamy.

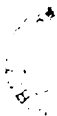
Rozpłakał się nawet, gdy olbrzymi Herkules jął całować go po rękach i zalewać się łzami, a dzielny John Burney, ogarnąwszy chłopaka ramieniem, rzekł do niego:

— Do przyszłego roku, mały, miły przyjacielu! Powracaj do nas zdrów i miej duszę jasną, pełną dobroci dla ludzi i zwierząt, bo to daje szczęście i radość!

Pan Waniewski odwiózł synka do Grand-Bassamu i, poleciwszy Jurka i jego bagaże opiece kapitana, wsadził go na duży okręt, płynący z ładunkiem bawełny, oliwy i mahoniowych desek wprost do Gdyni — naszego polskiego portu na Bałtyku.

KONIEC.

Warszawa, 4 listopada 1932.



SPIS ROZDZIAŁÓW

	str.
I. Na oceanie	7
II. Pierwszy dzień w Afryce	19
III. Przez dżunglę	26
IV. Na leśnej drodze	38
V. Jurek-przyrodnik	48
VI. Pogotowie ratunkowe	63



W PRZYGOTOWANIU:

F. Lazarusówna:

„ŚLADEM HELENY PARKHURST“.

Marja Kazi:

„ŻYCIE IRENKI“.

F. A. Ossendowski:

„STAŚ EMIGRANT“.



548795